

Opowieści z meekhańskiego pogranicza

Północ – Południe

Dotychczas w cyklu ukazały się:

1. Opowieści z meekhańskiego pogranicza.
Północ – Południe
2. Opowieści z meekhańskiego pogranicza.
Wschód – Zachód

Robert M.
Wegner

Opowieści
z meekhańskiego pogranicza

Północ – Południe



powergraph

Warszawa 2010

Copyright © 2009 by Robert M. Wegner
Copyright © 2009 by Powergraph
Copyright © 2009 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-08-0

Printed in Poland, EU

PÓŁNOC
Topór i skała

Honor górala

Shadoree nadeszli dokładnie z tej strony, z której się ich spodziewano. Dwunastu objuczonych jak muły mężczyzn wyłoniło się z lasu na wschodnim krańcu hali. Zatrzymali się na skraju drzew. Wyglądali, jakby szli bez przerwy przez ostatnie kilka dni, brudni, zarośnięci, zdyszani. Zbliżał się wieczór i słońce świeciło im prosto w oczy, a rozległa połać hali, lekko pofałdowana i skrząca świeżym śniegiem, wyglądała czysto i spokojnie. Wabiła, obiecując łatwiejszą drogę i brak niebezpieczeństwa zasadzki.

Oczywiście kłamała.

Pierwszy z mężczyzn postąpił kilka kroków naprzód, zapadając się po kolana w miękki puch. Widać śnieg spadł nie wcześniej niż zeszej nocy. Przybysz poprawił wielki wór na ramionach, warknął coś do reszty i ruszył przed siebie, najwyraźniej zamierzając przeciąć halę wzdłuż, najkrótszą drogą. Inni ruszyli za nim w kilkustopowych odstępach. Po jakichś stu krokach przewodnik zatrzymał się, ciężko dysząc, i dał znać drugiemu w kolejności, żeby go zastąpił. Sam poczekał, aż reszta grupy go minie, i zajął miejsce na końcu. Po następnych stu krokach nastąpiła kolejna zmiana, potem jeszcze jedna. Jak na ludzi, którzy najpewniej mieli za sobą cało-

nocną wędrówkę, utrzymywali niezłe tempo. W kwadrans przebyli połowę drogi.

I wtedy hala ich zdradziła.

Śnieg po obu stronach wyciągniętej w długi wąż grupy eksplodował w kilkunastu miejscach. Z tumanów lodowego puchu wyskoczyły owinięte w futra, wymachujące bronią postacie. Powietrze przeszył krzyk:

— Górska Straż! Rzucić broń!

Shadoree ani myśleli słuchać.

* * *

Chwilę później było po wszystkim. Porucznik Kenneth-lyw-Darawyt patrzył obojętnie, jak jego ludzie nożami sprawdzają, czy któryś z bandziorów nie udaje trupa. Dwóch, wziętych żywcem, wiązano właśnie na uboczu. Hala nie wyglądała już jak oaza spokoju – na zdeptanym śniegu, między trupami i porzuconymi tobołami, wykwiwały płamy jaskrawej czerwieni. Gdzieś tam prześwitywała późnojesienna trawa.

— Szlag trafił malowniczy widoczek — mruknął w przestrzeń.

— Słucham, panie poruczniku? — Stojący opodal dzieśnięk spojrzał pytająco.

— Nic, nic, Varhenn. Po nocy w norze zawsze gadam do siebie. Jakie straty?

Wytatuowana twarz podoficera rozjaśniła się.

— Trzech rannych. W tym tylko jeden poważnie, dostał w kolano i nie będzie mógł chodzić.

— W porządku, i tak miałem wysłać gońca do Belenden. Gdy dołączy reszta, przygotujecie sanie i psy.

— Tak jest.

Porucznik spojrzał na jeńców.

— A ci?

— Jeden młodzik i jeden idiota. Nie będzie z nich pożytku.

— Jeszcze zobaczymy. — Oficer odwrócił się do grupy żołnierzy. — Andan! Zaszczyc uwagę swojego dowódcę.

Andan-keyr-Treffer, najmłodszy z jego dziesiętników, przytruchtał posłusznie i ani ciężki, luskowy pancerz, ani pas obciążony szablą i toporem na krótkim stylisku najwyraźniej mu nie przeszkadzały. Kenneth wiedział, że to nie nadgorliwość czy służalczość. Po nocy spędzonej w wygrzebanych w śniegu norach każda odrobina ruchu była błogosławieństwem. Podoficer był niski i krępy, na dodatek zaroiński jak niedźwiedź; w ciemnej uliczce mógłby przestraszyć każdego przechodnia. Porucznik westchnął w myślach i przeniósł wzrok na drugiego dziesiętnika.

Varhenn Velergorf, siwowłosy i wąsaty, w krótkiej kolczudze, skórzanych portkach i kosmatej baranicy narzuconej na grzbiet, wyglądał jak zbir. Na policzkach, czole i grzbietach dłoni miał niebieskie, siwe i czarne plemienne tatuaże. Przypominający katowskie narzędzie topór, z długą na dziesięć cali brodą, trzymał przerzucony niedbale przez ramię. Żeleźce ciągle lepilo się od krwi. Wyglądamy, psiakrew, gorzej niż banda zbójców, pomyślał Kenneth. Nic dziwnego, że każą nam się okrzykiwać przy każdym spotkaniu.

— Andan — zwrócił się najpierw do młodszego dziesiętnika. — Zrobisz zbiórkę. Chcę powiedzieć parę słów. Potem przeszkaszą rzeczy Shadoree. Może dowiemy się, gdzie szli.

Dziesiętnik wykonał coś, co od biedy mogło uchodzić za salut.

— Taaa jest. A czarownik?

Oficer skrzywił się.

— Nie będę na niego czekał. Wie nie więcej niż my i sprawa same kłopoty. Nie po to kazałem Berghowi trzymać go z daleka, żeby teraz czekać na jaśnie wielmożnego mistrza

— stwierdził z przekąsem. — Aha, Andan, żadnego obcinania uszu, nie tym skurwysynom.

— Jasne.

— Biegiem!

Krępy podoficer potruchtał do żołnierzy. Kenneth odwrócił się do Velergorfa.

— Gdy Andan skończy, wyślesz kilku ludzi, żeby przygotowali na skraju lasu duży stos.

— Tak jest.

— Potem przesłuchamy tych dwóch. A co do zbiórki... Pamiętaj o mojej prośbie?

Siwowłosy dziesiątnik uśmiechnął się lekko.

— Pamiętam, panie poruczniku.

— No to nadstawiaj uszu.

Kenneth odwrócił się, spoglądając w kierunku zachodzącego słońca. Z tej strony hala ciągle wyglądała czysto i spokojnie. W ależ straszne gówno wdepnęliśmy, pomyślał. Za nim sprawa się skończy, ubabrzemy się po same uszy.

Kilkanaście kroków za nim Andan skończył ustawiać oddział w szereg. Siedemnastu żołnierzy – malownicza zbieranina, wyposażona w imponującą kolekcję pancerzy, hełmów, tarcz i najróżniejszego uzbrojenia zaczepnego. Tylko trzech zadało sobie trud założenia płaszczy ze znakami Górskiej Straży. Porucznik ruszył w ich stronę.

Wiedział, że sam nie wygląda lepiej. Nosił futrzany kubrak narzucony na koszulę z surowego sukna, solidne buty i spodnie ze skóry młodej foki uszyte, aherską modą, sierścią do wewnątrz. Do tego połatana kolczuga, prosty hełm, długi miecz i okrągła tarcza ze spiczastym umbem. Gdyby nie jasnoszary płaszcz z wyszytymi na przodzie dwoma szóstkami i stylizowanym łbem wessyrskiego owczarka – symbolem Górskiej Straży – nikt przy zdrowych zmysłach nie wziąłby go za cesarskiego żołnierza.

Górska Straż była jedną z tych jednostek Cesarstwa Meekhańskiego, której historia sięgała przedmeekhańskich czasów. Zanim Imperium oparło się w marszu na północ o góry Ansar Kirreh, ziemiami tymi władała luźna liga plemion wessyrskich, których główną siłą były właśnie oddziały bitnych górali, zwane Górską Strażą. W trakcie wojny z Meekhanem znający teren jak własną kieszeń strażnicy nie raz i nie dwa utarli nosa imperialnej piechocie, budząc niechętny podziw i uznanie napastników. Po sześciu latach wojna zakończyła się objęciem przez Imperium protektoratu nad ziemiami między rzeką Vanawen a łańcuchem górskim, zwanym Wielkim Grzbietem. Przez następne kilkadziesiąt lat protektorat łagodnie przeszedł w pełną aneksję. Stało się to dzięki dość rozsądnej polityce Imperium, które przyznało tubylcom pełnię praw, przysługujących rodowitym Meekhańczykom, i nie wtrącało się za bardzo do miejscowych zwyczajów i tradycji. Niejako przy okazji słynąca z pragmatyzmu imperialna armia przyjęła na swój żołd Górską Straż, doceniając jej wartość i zalety. W terenie pozbawionym utwardzonych dróg, na górskich ścieżkach, w wąskich kotlinach i na wietrznych szczytach strażnicy okazali się po prostu lepsi od regularnej ciężkiej piechoty. Pozwolono im nawet zachować pierwotny podział na oddziały, liczące po stu i tysiąc ludzi, zwane już jednak, zgodnie z meekhańską terminologią, kompaniami i pułkami. W porównaniu z liczącymi dwanaście dwustuosobowych kompanii pułkami meekhańskiej piechoty oddziały Górskiej Straży były mniejsze, ale szybsze i znacznie ruchliwsze. Idealne do górskich potyczek. Strażnicy rekrutowali żołnierzy z miejscowych górali, pozwalając każdemu zachować własne uzbrojenie i stosować ulubiony styl walki, bo w tych okolicach rzadko ścierało się w szyku, zwartymi oddziałami, tarcza przy tarczy. W rezultacie przeciętny oddział Straży wyglądał jak banda

zbójów. A porucznik Kenneth-lyw-Darawyt właśnie stanął przed takim oddziałem.

— Baczość! — Dziesiątnik Andan-keyr-Treffer miał, jak na swój wzrost, imponujący głos. Szereg wyprężył się, w mniej lub bardziej udany sposób parodiując pozycję zasadniczą.

— Łatwo wam dziś poszło. — Kenneth zatrzymał się przed żołnierzami, mierząc ich uważnym spojrzeniem. Do licha, większość była starsza od niego. — Wiecie dlaczego? Bo oni szli tutaj noc i dzień bez odpoczynku. Połowa od razu padła od strzał, a reszta była zbyt zmęczona, żeby się bronić, jak należy.

Przerwał, dając im chwilę na przetrwanie tych słów.

— To była dobra walka. Ale następna może być znacznie trudniejsza. Ciągłe nie wiemy, gdzie ukryła się reszta klanu ani ilu ich będzie — nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami, więc zatknął je za pas. — Teraz poczekamy na Bergha i czarownika. Dziesiątnik Velergorf znajdzie zajęcie dla kilku z was. Reszta zajmie się rozbiciem namiotów i rozpaleniem ognia. Po dwudziestu godzinach w norach należy nam się ciepłe żarcie.

Odpowiedział mu zgodny pomruk.

— Zanim to jednak nastąpi, musimy posprzątać. Zgodnie z rozkazami, po Shadoree ma nie zostać żaden ślad. To wredna robota, jednak nikt nas nie wyręczy.

Szereg zachował martwą ciszę.

— Ale na początek po pół kubka wódki na głowę — tym razem pomruk był radośniejszy. — A dla tych, co nie wstydzą się własnych znaków, po całym.

Kenneth wymownym gestem wskazał trzech żołnierzom, noszących szare, obszyte białą lamówką płaszcze z niebarwionej wełny.

— Rozejść się.

Porucznik odetchnął. Ciągłe nie czuł się pewnie w takich sytuacjach, a co gorsza, miał wrażenie, że wszyscy doskonale o tym wiedzą.

— Panie poruczniku — Velergorf wyrósł przy nim jak spod ziemi. — Ja w sprawie pańskiego rozkazu.

— Pamiętam. Chodźmy na bok.

Odeszli kilkanaście kroków.

— I jak?

Przy Velergorfie Kenneth nie musiał udawać. Służyli razem od pięciu lat – najpierw w jednej dziesiątce, jako zwykli żołnierze, później on został dziesiątnikiem, a Velergorf jego prawą ręką. Po objęciu dowództwa nad nowo utworzoną Szóstą Kompanią Kenneth przydzielił mu własną dziesiątkę, mając pełne zaufanie do umiejętności i doświadczenia starego górala. A potem wziął go na stronę i poprosił, żeby mu patrzył na ręce i wytykał błędy.

— Dobrze. Krótko i do rzeczy — dziesiątnik mówił szepem. — Niewiele jest rzeczy gorszych niż dowódca, co po skończonej robocie przez godzinę na zmianę się chełpi i strofuje ludzi. Ale niech pan nie dzieli ich na lepszych i gorszych z powodu płaszczy. Będą z tego kłopoty.

— To jak ich zmusić, żeby nosili znaki własnej kompanii?

Dziesiątnik podniósł garść śniegu i zaczął ścierać krew z ostrza topora.

— Potrzebują czasu — zaczął po chwili starszy żołnierz. — Ta tak zwana kompania to cztery dziesiątki zebrane z różnych oddziałów i uzupełnione rekrutami. Dziesiątka Andana przyszła z Czarnych Portek Berhoffitza, a kto o nich nie słyszał? Bergh – z Ósmej Kompanii Dwunastego Pułku, z Dzikich Psów. To też sławna nazwa. A chłopcy, których mi pan dał, to przecież Łobuzy z Gallen. Pierwsza Kompania, Czwarty Pułk. Wszystko słynne i zasłużone oddziały. Latami pracowały na swoją sławę. A tu, co? Przenoszą ich do Szóstego Pułku, który powstał ledwo rok temu, nie ma za sobą

żadnej wielkiej kampanii ani zwycięstw i właściwie ciągle się formuje. Na dodatek trafiają do niego, bo pułk nie może sobie poradzić z jednym klanem zdziczałych górali. Oni po prostu czują się oszukani. Zabrano ich z własnych oddziałów i przydzielono do najmłodszego pułku w Straży. I to do jego najnowszej kompanii, dowodzonej przez jakiegoś nieznanego młodzika.

— Nie prosiłem się o stopień.

— Słyszałem. Nie dość, że młody, to jeszcze głupi...

Kenneth roześmiał się głośno. Kilku stojących najbliżej żołnierzy odwróciło ku nim głowy.

— Dobrze — Velergorf też się uśmiechnął. — Jeśli dowódca się śmieje, to znaczy, że wszystko idzie dobrze. Dobrze też, że jest pan ten, tego... nooo...

— Rudy?

— Tak, panie poruczniku. Wszyscy wiedzą, że góry lubią czerwono włosówych. Ten przesąd jest ciągle żywy stąd aż do wschodniego Jehyr.

— Powinienem więc podziękować mojemu ojcu, bo ożenił się z najbardziej rudą dziewczyną w okolicy, chociaż wszyscy mu to odradzali. Ale nie mówimy o mnie, tylko o moich ludziach, Varhenn. Na coś jeszcze powinienem zwrócić uwagę?

— Niech pan im po prostu da czas, panie poruczniku. — Dziesiętnik zatknął topór za pas i podrapał się po brodzie. — Tu chodzi też o, hm, jakość materiału. Gdy Berhoffitz, Wer-Yllen i inni dostali rozkaz, żeby podzielić się ludźmi z naszym pułkiem, wysłali najmniej wartościowych. I nie mam do nich o to żalu, sam bym tak zrobił. Nie żeby te chłopaki były całkiem do niczego, ale to ci najmniej doświadczeni, najbardziej krnąbrni, tacy, których ustawia się na szpicie, gdy spodziewasz się zasadzki. Część potraktowała przydział do Szóstego Pułku jak karę. Niezasłużoną karę.

— Czyli co? Mam doprowadzić do tego, żebyśmy stali się tak znani jak Czarne Portki? To może mi zająć resztę życia. Dość krótkiego zresztą, jeśli będę się usilnie starał...

— Nie, panie poruczniku. Na początek wystarczy pokazać im, że mogą panu zaufać. Że zna się pan na robocie i nie dostał stopnia dzięki stryjowi w sztabie.

— Myślałem, że nieźle mi idzie.

— Tak. Kiedy wydał pan rozkaz, żeby podzielić kompanię i przejść nocą przez przełęcz Call-Ander, myślałem, że to największa głupota. O tej porze roku powinno tam już być śniegu po szyję. Bez psów i sań mogliśmy ugrzęznąć. Ale tam śniegu było tyle, jakby się kozioł zebzdził. Potem kazał nam pan czaić się tu, w norach, pod śniegiem, przez pół nocy i niemal cały dzień. Jeszcze godzinę temu wszyscy przeklinali pana za tę wycieczkę i nocleg na ziemi. Ale kiedy Shadoree wyszli z lasu w tym miejscu, które pan wskazał... No, no. Co jak co, ale o tym będą długo gadać.

— Od pół roku nam się wymykają, więc...

Dziesiątnik pokręcił głową.

— Niech pan mi tego nie tłumaczy. Jest pan oficerem. Co prawda dopiero od miesiąca, ale to nie ma znaczenia. Pokazał pan wszystkim, że ma nosa i zna się na górach. Teraz wystarczy tylko udowodnić, że to nie było szczęście.

— Sam chciałbym w to wierzyć.

Varhenn Velergorf uśmiechnął się lekko.

— To są góry, panie poruczniku. Tutaj szczęście mają tylko dzieci i idioci.

— To do której grupy mnie zaliczasz?

Tym razem to dziesiątnik parsknął śmiechem.

— O tym z pewnością będą opowiadać. — Velergorf bezceremonialnie smarknął na śnieg. — Wyrznęli bandę Shadoree, a potem stali pośród trupów i opowiadali sobie kawały. Jak pan myśli, kiedy dołączy reszta kompanii?

— Masz na myśli tych dwudziestu chłopca i dziesięć psów? Jeśli Bergh utrzymał takie tempo, jak mu sugerowałem, powinni tu być przed północą.

— Co potem?

— Jeszcze nie wiem. Zdecyduję, gdy Andan znajdzie coś, co pomoże nam rozgryźć cel wędrowni bandy.

Velergorf się zasępił.

— Andan. Właśnie, panie poruczniku. Trzeba go usadzić.

— Usadzić? — Kenneth czuł, o co chodzi, ale chciał, żeby dziesiętnik potwierdził jego spostrzeżenia.

— To jego „taaa jest”, „jasne”, stanie na baczność tak, jakby miał zaraz sraczki dostać, zapominanie o oddawaniu honorów i tak dalej. Jeszcze chwila, a zacznie pytać, dlaczego padł taki, a nie inny rozkaz, zamiast robić, co mu każą. A inni wezmą z niego przykład. To niebezpieczne. Jest pan młodszy od niego i krócej służy. On... potrzebuje przypomnienia, kto tu dowodzi.

— Zajmę się nim. — Porucznik pokiwał głową. — Dziękuję.

— Nie ma za co. Za to mi płacą.

Wyszczерzyli się jednocześnie, mimo że był to ograny dowcip.

— Jak myślisz — Kenneth wskazał na leżące ciała — gdzie mogli iść?

Siwy dziesiętnik podrapał się po dwudniowym zaroście.

— Stąd? Tylko do Gyreten albo na Wysokie Pastwiska.

— Hm... No nie wiem. To zbyt oczywiste.

Usłyszeli skrzypienie śniegu. Podszedł do nich Andan-keyr-Treffer, niosąc coś w ręku. Miał dziwną minę.

— Ani Gyreten, ani Wysokie Pastwiska — powiedział. — Albo ja jestem półtaher.

Pokazał im, co znalazł. Był to dziwaczny sandał. Składał się z drewnianej podeszwy, nabijanej mnóstwem gwoździ i zaopatrzonej w kilka skórzanych pasków.

— Mocuje się je do butów — wyjaśnił, nie wiadomo po co.
— Wiem, żeby nie ślizgać się po lodzie. Co jeszcze?
— Haki i liny. Porządnie zrobione. Widać, że wiedzą, jak się nimi posługiwać.

— Czekany?

— Po jednym na łebka.

Kenneth zacisnął zęby.

— Wiecie, co to znaczy, prawda? Te szczury kryją się po drugiej stronie Starego Gwyhrena.

— Niemożliwe. — Velergorf wskazał majaczącą na północy ścianę bieli. — Musieliby być szaleni, żeby przechodzić lodowiec.

— Oni są szaleni. Pewnie w trakcie przeprawy zginęła połowa kobiet i dzieci, ale przeszli i kryją się po drugiej stronie. To dlatego od pół roku nie możemy ich znaleźć.

Starszy dziesiętnik spojrział na niego z błyskiem w oku.

— Pan wiedział, domyślał się tego! Dlatego kazał nam zaciąć się właśnie tutaj.

— Ryzykowałem. — Kenneth wzruszył ramionami. — Jak już mówiłem, szukamy ich pół roku, nasz pułk i dwa inne. Wykurzyliśmy w międzyczasie nawet świstaki z nor, a bandyci z klanu pojawiają się nie wiadomo skąd i znikają nie wiadomo gdzie. Zabijają ludzi w całej prowincji. Ale nigdy nie uderzali dalej niż trzy, cztery dni drogi od lodowca.

Andan pokręcił głową.

— Ale żeby zaczęli się po drugiej stronie? Aherowie powinni ich wytluc w trzy dni.

Miał rację. Stary Gwyhren, zwany przez miejscowych górali Białą Ścianą, a przez aherów Gwyhhrenh-omer-gaarranaa, czyli Ojcem Lodu, był największym lodowcem na Północy. Brał swój początek gdzieś pośród szczytów ośmiomilowych gór Wielkiego Grzbietu i sunął na południowy zachód, z arogancją sugerującą, że w razie potrzeby utoruje sobie drogę siłą. Wypełniał całkowicie dno rozległej doliny, zamk-

niętej między potężnymi szczytami, po czym wylewał się z niej pięćdziesięciomilowym jeżorem lodu, wpadającym do jeziora Doranth.

W tym rejonie gór lodowiec stanowił granicę, o którą oparła się meekhańska ekspansja na północ. Za nim zaczynały się ziemie aherów i tych nielicznych klanów górali, które za żadną cenę nie chciały się poddać imperialnemu zwierzchnictwu. Stanowił zresztą granicę wyjątkowo szczelną i bezpieczną. Stary Gwyhren miał w najszerszym miejscu ponad osiem mil szerokości, a jego poprzecinany szczelinami i pęknięciami grzbiet był śmiertelną pułapką nawet dla najbardziej doświadczonych górali. Niektórzy magowie twierdzili, że lodowiec zahacza po drodze o potężne źródło Mocy, aspektowane przez Ciemność, inni wspominali o Uroczysku, przykrytym rzeką lodu. Nieważne, jaką tajemnicę skrywał – przechodzenie go uważano za objaw szaleństwa. Dlatego ziemie na południe od lodowca uchodziły za tereny bardzo spokojne. Przynajmniej do czasu pojawienia się Shadoree.

— Dobra. — Kenneth postanowił przerwać przedłużające się milczenie. — Nie pytam, czy to robią, bo najwyraźniej przełazą przez Starego Gwyhrena jak przez ślizgawkę. Pytam, w którym miejscu?

— Zaraz przy wylocie z doliny. — Velergorf najwyraźniej zdążył już oswoić się z tą myślą. — Tam jest najwięziej. Zresztą, jak się zastanowić, to tam właśnie szli.

— Też tak myślę. Andan! — Kenneth odwrócił się do krępego dziesiętnika. — Zbierz te haki, liny i czekany.

Podoficer zawahał się.

— Pójdziemy na drugą stronę?

— Tak. Klan najwyraźniej jakoś dogaduje się z aherami. Gdy ta grupa nie wróci, przeniosą się gdzie indziej i ukryją. Potem przyjdzie zima i znów będziemy mogli tylko czekać